



**Michał Organiściak**

# Czarna

– Oto panie Dolna Brama, a za nią Zielona Góra. – Wskazałem pancerną rękawicą na obwarowania miejskie. Brama była otwarta na oścież, na jej oflankowanym szczycie załoga balisty wygrzewała się na słońcu. Poniżej stało kilku uzbrojonych w giewie knechtów, którymi dowodził dziesiątnik, w brudnej i poplamionej krwią jace. Mój towarzysz podróży, czy raczej człowiek, którego eskortowałem od Krosna aż do Zielonej, pokiwał głową, po czym, patrząc mi w oczy, powiedział:

– Brunonie, a może zechciałbyś mi towarzyszyć jeszcze trzy dni tutaj w mieście. Wprawdzie nie przewiduję żadnych niebezpieczeństw, jednak we dwóch zawsze raźniej. Zapłacę za twój czas.

– Było by mi niezmiernie miło – skłamałem. – Jednak obiecałem ojcu, iż natychmiast do domu powrócę.

– Naprawdę nalegam, potrzebował będę cię tu ledwie trzy dni i za każdy dzień gotów jestem zapłacić okrągłą grzywnę. – Spojrzał na mnie przenikliwie spod krzaczastych brwi. Nicolas Belner, jegomość w pięknym, czarnym jak smoła dublecie ze srebrnymi skuwkami. Jedyny człowiek na widok którego mój przybrany ojciec Mikołaja z Elzanowa zareagował czymś, co mógłbym nazwać strachem. A ojciec

nie bał się nawet Aniołów. Nicolas pojawił się u nas wczoraj późnym wieczorem, deliberował potajemnie z mym ojcem całą noc, po czym rano ojciec oświadczył, że mam imć Nicolasa odtransportować bezpiecznie do Zielonej.

– A co dokładnie miałbym robić? – spytałem.

– To, co podczas drogi tutaj, czyli najprawdopodobniej nic. – Uśmiechnął się, jednak w uśmiechu tym nie było ani śladu radości. – Mam kilka umówionych spotkań i rycerz twojej postury z pewnością mi je ułatwi.

Popatrzyłem raz jeszcze na Nicolasa Belnera, był już pewny, że mnie miał. Korciło mnie, by odmówić, dla samej przekory, po to, by zetrzeć ten przekłety uśmiech z twarzy. Jednak trzy grzywny to trzy grzywny. Westchnąłem ciężko i powiedziałem:

– Zgoda w takim razie. – Uśmiechnął się na te słowa, tym razem chyba szczerze.

– Zacny z ciebie rycerz Brunonie, czujesz, że stary człowiek w obcym mieście mógłby łatwo popaść w kłopoty. – Zdecydowanie przesadzał i z tym starym człowiekiem i kłopotami. Zeskoczył z konia i chwycił go za uzdę. Wprawdzie brama była otwarta na oścież, ale kratę opuszczono tak, by nikt konno nie mógł wjechać do miasta. Chcąc nie chcąc zrobiłem tak samo, chrzęszcząc zbroją.

Zielona Góra witała nas smrodem. Nim przekroczyliśmy Dolną Bramę, przyszło nam stać w oczekiwaniu, aż strażnicy przeszukają wóz wyładowany nieoprawionymi skórąmi z podmiejskiego kutlofu. Dwie bramy to zdecydowanie za mało na to miasto. Zielona wręcz dusiła się przelewającymi się przez nią tłumami kupców, chłopów i... zbrojnych. Smród nie był wyłącznie zasługą pobliskich kutlofów i foluszy, nawet nie Złotej Łączy, która nazwę swą zawdzięczała zapewne ilości płynącego nią moczu. Zimą w Zielonej było całkiem przyjemnie. Jednak dziś, w upalne lipcowe popołudnie, trudno było wytrzymać w okolonym ceglanyimi murami mieście. Zwłaszcza, że gdy budowano te mury, nikt nie sądził, że miasto tak gwałtownie zwiększy swą populację. Jak wszystkie miasta.

Przerwałem rozmyślania, bowiem od strony wozu dobiegły krzyki. Jeden ze strażników, stojący na wozie, spomiędzy cuchnących skór wyciągnął przedmiot, jakiego nie widziałem od lat. Lśniący srebrem, bogato zdobiony krucyfiks. W lipcowym słońcu błyszczał jak latarnia i dokładnie tak samo działał. Strażnicy rzucili się na woźnicę, wrzeszcząc „bezgrzeszny!”. Ten trzymający krucyfiks usiłował go przełamać. Było już jednak za późno.

Klucz Aniołów, które przed chwilą były tylko małymi kropkami na niebie, zanurkował z przerażającym wizgiem skrzydeł.

Dzwony zaczęły bić, kto żyw chwycił łuk lub kuszę. Obwarowania i mury zapęłniły się zbrojnymi, jęknęły napinane ramiona balist, wystrzeliły wielobeltowe jeże, zapłonęły maźnice.

Sprokowane krucyfiksem anioły nurkowały wprost na Dolną Bramę. Ich miecze lśniły, gdy posyłały z nich pioruny.

Wskoczyłem na rumaka i wciągnąłem nań Nicolaca Belnera, którego spłoszony koń umknął w panice. Dookoła zapanowało istne (dantejskie) piekło. Błyskawice trafiały na równi strażników i czekających w zatorze przed bramą. Uciekający ludzie tratowali się wzajemnie.

Trafiony kilkoma szczególnie silnymi piorunami wóz ze skórą eksplodował. W strzepy rozerwało strażnika i połamany krucyfix. Anioły zniżyły lot, atakując z niewielkiej wysokości. Zwinne jak jaskółki przeleciały pomiędzy strażnikami. Ich miecze były szybkie jak myśl. Krew chlusnęła z odciętych kończyn i głów. Jeden ze strażników zdążył nastawić gwieź i któryś z Aniołów nadział się na nią jak na rożen. Mglenie oka później rosły Anioł rzucił strażnikiem o mur.

Zatrzepotało i tuż przed nami o ziemię gruchnęła Anielica z przestrzelonym skrzydłem. Długi na trzy łokcie pocisk balisty sterczał z śnieżnobiałego skrzydła. Czerwona krew barwiła jej szatę.

Wyrwałem gwiazdę zaranną z nosidla i spałem konia. Anielica zdołała poderwać się z ziemi. Ciosu zatrzymać nie zdążyła. Żelazna kula nabijana ćwiekami strzaskała ramię, gdy przegalopowałem koło niej. Mglenie powieki później błyskawica eksplodowała pod końskim kopytami, a my wraz z Belnerem znaleźliśmy się na ziemi. Poderwałem się i rzuciłem na Anielicę. Z przestrzelonym skrzydłem i roztrzaskanym obojczykiem wciąż miała w sobie dość sił, by ciskać błyskawice.

Doskok, zwód i uderzenie gwiazdą zaranną. Łańcuch owinął się dookoła klingi miecza. Szarpnąłem i Anielica straciła równowagę. Zdziesiąłem ją pancerną rękawicą w twarz, wkładając w ten cios całą swoją nienawiść.

Anielska uroda ustąpiła miejsca krwawej miązdze.

Zatoczyła się, upuszczając miecz. Obaliłem ją na ziemię. Pod ciężarem moim i zbroi nie mogła się ruszać. Wściekle drapała blachy pancerza. Nie zamierzałem dać jej cienia szansy. Wyrwałem zza pasa mizerykordię o oksydowanym ostrzu i wbiłem w jej pierś. Krzyczała, krew była wszędzie. Po trzecim lub czwartym ciosie przestała się ruszać.

Ale ja dalej kułem jak szalony, mszcząc się za wszystkie krzywdy, za cały ten strach, jaki wynikał z pojawienia się Aniołów.

Wstałem, odszedłem dwa kroki i zwymiotowałem. Kolana miałem miękkie jak po ciężkiej chorobie. Moja zbroja była w kilku miejscach rozdarta niczym płótno, ślady po szponach anielicy. Przed oczyma latały mi mroczki, a prawa ręka była jak sparaliżowana. Cały byłem utyłany we krwi. Nieopodal z ziemi podnosił się Nicolas Belner.

Anioły odleciały, pozostawiając za sobą okrwawione mury miejskie Zielonej Góry i szczątki martwych strażników.

Dlaczego, pomyślałem, dlaczego wciąż pojawiają się bezgrzeszni, ludzie oddający im cześć. Dlaczego wciąż Go czczą.

– Wiedziałem – powiedział Belner, jedwabną chusteczką tamując krwawienie z niewielkiej rany na czole. – Wiedziałem, że jesteś dobrą inwestycją.

– Chyba dla ciebie – powiedziałem, patrząc się na zniszczony napiersnik i martwego rumaka.

– Och to drobiazg, władze Zielonej Góry płacą tuzin grzywien za Anielskie skrzydła, a ty masz do nich pełne prawo. – Skinąłem głową, przewróciłem anielicę na brzuch i mieczem o zakrzywionym jelcu odrąbałem skrzydła.

\* \* \*

Siedzieliśmy przed karczmą na drewnianej ławce, racząc się cienkim winem. Doskonale znałem to miejsce, niegdyś stał tu Kościół Świętej Jadwigi Śląskiej, który wnuk postawił swej babci. Zrównano go z ziemią, stawiając tu karczmę z zamtużem, zgodnie z zasadami splugawienia.

Splugawieniu podlegało wszystko, co niegdyś było święte i czczone. Odkryto bowiem, że jeśli w pobliżu nie ma miejsc świętych i symboli wiary, Anioły są jak ślepe. Więcej, jawne grzeszenie, łamanie nakazów i przykazań, czczenie szatana oślepia je jeszcze bardziej.

Popijałem wino, patrząc się na Nicolasa. Poza drobną blizną na czole wyszedł z dzisiejszego spotkania nietknięty. Nie mogłem tego powiedzieć o sobie. Poobijałem się przy upadku z konia, oberwałem podczas walki z Anielicą no i na domiar złego zabiłem ją własnoręcznie. Do walki z Aniołami preferowano broń dystansową. Jak najdalej od umierającego Anioła. Owszem, mizerykordia moczona była w by-

czej krwi, odprawiono nad nią, podobnie jak i nad resztą mojego ekwi- punku, pogańskie obrzędy. Jednak prawe ramię paliło żywym ogniem, trawione wewnętrzną gorączką. Medyk upuścił już mi krwi, zalecając odpoczynek. Jednak ręka była tak słaba, że z ledwością unosiłem ku- bek z winem.

– Że też ten cholernik zamiast kolejnego potopu tym razem wysłał Anioły – powiedziałem to ni to do Nicolasa, ni to sam do siebie.

– Jak by to powiedzieli niegdyś księży, taki jest boski plan. – Belner opróżnił kubek do końca i zawołał o następny. Gospodarz zapowie- dział nam, że wikt i opierunek mamy u niego za darmo. Mordercom Aniołów coś się od życia należy, zastrzegł jednak, że zamtuż to już inna sprawa.

– Zabawne, że księży Anioły dopadły w pierwszej kolejności; księ- ży, biskupów i kardynałów.

– Zapewniam cię, że z punktu widzenia księży nie było w tym nic, ale to absolutnie nic zabawnego – powiedział Belner i stuknął się ze mną kuflem.

– Po prostu w kościołach pośród krucyfiksów nie mieli szans się ukryć przed Aniołami.

– Podobno kilku księży ocalało, byli bezgrzesznymi...

Do naszego stolika dosiadł się jegomość, nawet nie podniosłem gło- wy, czekając aż Nicolas go spławi. Od zajścia przy bramie co chwi- la ktoś się dosiadał, pragnąc posłuchać opowieści o walce Brunona z Aniołem. Nic takiego się nie stało, Belner przywitał się z nowoprzy- byłym i rozpoczęli rozmowę. Był to korpulentny kupiec o jowialnej twarzy, łysej głowie i dziecięcym uśmiechu. Kupca ktoś obserwował, dwóch, nie, trzech drabów, pod mieczami, w znoszonych kolczugach. Obstawa.

– Nie przedstawisz nas Nicolasiu – zagadał kupiec.

– Ależ proszę o wybaczenie, Brunon z Biskupic, syn mojego przyja- ciela Mikołaja z Elzanowa, Brunon dziś przed bramą...

– Ach wiem, wiem. Wspaniale młodzieńcze, jesteś synem Mikołaja z Elzanowa, doprawdy ten Anioł nie mógł gorzej trafić. A ty – tutaj zwrócił się wprost do Nicolasa – nie mogłeś trafić lepiej z eskortą, na widok tego młodzieńca nawet moi chłopcy srają ze strachu. – Jego obstawa nie wyglądała na poruszoną.

– Obawiałem się, jak mnie przyjmą w Zielonej Górze. – Nicolas Belner patrzył świdrującym wzrokiem w jegomościa.

– Ależ jak zwykle z otwartymi ramionami, tak tu się wita ludzi interesu. Zakładam bowiem, że skoro pojawiaasz się tu tak otwarcie, interes, jaki masz do zaproponowania, z nawiązką wynagrodzi nam dawne straty i zadośćuczyni poniesione krzywdy.

– Interes, jaki mam do zaproponowania – mówiąc to, Belner upił kolejny łyk wina. – po dziesięciokroć zadośćuczyni dawne krzywdy.

– Rad jestem to słyszeć, bowiem jako człowiek z natury spokojny i leniwy, musiałem dziś bardzo się napracować, by przekonać wszystkich tych, którzy chcieli cię od razu zabić, że najpierw należy porozmawiać. – Grubas uśmiechnął się przyjacielsko, a ja zdałem sobie sprawę, że ani nie żartuje, ani nie przesadza. Trzy grzywny wydały mi się nagle zdecydowanie za niską zapłatą.

– Cieszy mnie bardzo twoje zaangażowanie w rozwiązanie dawnych konfliktów. – Nicolas sięgnął za pazuchę i wydobył z niej niewielkich rozmiarów mieszek, który podał grubasowi. Ten zajrzał do środka i pokiwał głową.

– Jesteśmy kwita? – spytał Belner, w jego głosie po raz pierwszy usłyszałem zdenerwowanie. Grubas pokiwał głową i z uśmiechem powiedział:

– Witam w Zielonej Górze Nicolasie. – Mieszek wylądował za jego pazuchą.

– Poczekaj Rudy, to dopiero zaliczka, trzy razy tyle dam ci, jeśli pomożesz mi w pewnym przedsięwzięciu. – Twarz Nicolasa tężała, gra toczyła się chyba o naprawdę wielką stawkę, nie wiedziałem jednak o jaką.

– Mów zatem przyjacielu, czego będziesz potrzebował. – Oczy grubasa, zwanego Rudym, patrzyły na Belnera takim wzrokiem, jakim wilk obserwuje zającą.

– Łopaty... no i powiedzmy dwudziestu pomocników, którzy zapewnią mi spokój przy kopaniu. – Na twarzy Belnera pojawił się ten sam uśmiešek, który zagościł na niej, gdy wiedział, że kupił moje usługi.

– A gdzie dokładnie będziesz kopał przyjacielu? – Oczy grubasa nagle rozszerzyły się ze zdziwienia, patrzył w jakiś punkt za mną.

– Ależ nie ma obawy, ja tam trafię, a Ty dowiesz się w swoim czasie. – Uśmiech Belnera stał się jeszcze bardziej wyraźny.

Przysiadła się do nas dziewczyna, to na nią patrzył się grubas. Smułka czarnowłosa, w bardzo krótkiej sukience, z bardzo wyciętym dekoltem. Przed czasami Aniołów i polityką splugawienia, sukienka do

połowy uda nie przeszłaby nikomu przez myśl. Teraz była obowiązującą modą. Im bardziej coś było grzeszne, tym bardziej ślepe były Anioły. Pomyślałem, patrząc się na jej opalone uda, że jednak są dobre strony tego, że musimy się bronić za pomocą splugawienia.

– Co ty tu robisz? – zawołał zaskoczony grubas.

– Nie przedstawiś mnie swoim przyjaciółom, tatko? – Dziewczyna założyła nogę na nogę i bezceremonialnie chwytając dzban wina, popiła duszkiem.

– Brunon z Biskupic i Nicolas Belner, a teraz, gdy już ich przedstawiłem, zechcesz udać się do domu. – Wzrok Rudego mógłby zabić, ale dziewczyna nic sobie z tego nie robiła.

– Mój tatko – powiedziała kładąc mi dłoń na naramienniku – jest doprawdy zagubiony. Z jednej strony przewodzi wszystkim złodziejom, dziwkom i łachudrom w tym mieście, z drugiej strony chce wychować córkę na porządną dziewczynę. Z jednej strony wie, że gdy będę zbyt niewinna, to nawet cień na ulicy w kształcie krzyża może sprowadzić Anioła. Z drugiej strony nie chce, bym nadto sobie folgowała.

Przyjrzałem się jej dokładniej, oprócz kruczoczarnych włosów miała też ciemne, piwne oczy i delikatną, młodziutką twarz. Mimo całej nonszalancji i udawanego spokoju, była zdenerwowana.

– A jak ty się w tym czujesz? – spytałem, bezceremonialnie omijając wszelkie formy grzecznościowe i patrząc się jej głęboko w oczy.

– Wielkie piekła! Pogromca Anioła, rycerz w czarnej zbroi, nie chowa się za konwenansami. Co więcej, chyba rzeczywiście chce poznać moje zdanie, to pewne novum w mych kontaktach z mężczyznami. Większość po prostu pyta, czy zaspokoję ich żądze.

– Nie odpowiedziałś mi na pytanie. – Spojrzałem w jej oczy, grubas chciał coś powiedzieć, ale Belner uspokoił go gestem dłoni.

– A chcesz znać odpowiedź, rycerzyku? – Popatrzyła się na mnie bezczelnie.

– Wyobraź sobie, że tak, chcę wiedzieć, co myślisz.

– Zatem powiem ci... Odpowiem na wszystkie pytania w tym i te o zaspokajaniu żądz, pierwej jednak ty powiesz mi, co czujesz, zabijając Anioła. – Coś się zmieniło w wyrazie jej twarzy, była bardziej poważna, jakby spokojniejsza.

– Czuję obrzydzenie, bo to nie był Anioł, a Anielica. – Chwyciłem kubek i wypłem do dna.



– Przepraszam... Ja... nic, po prostu przepraszam. – Zagryzła wargi, a na jej twarzy pojawił się autentyczny smutek, stała się nagle bardzo, ale to bardzo piękna.

– Nie szkodzi, nie mogłaś tego wiedzieć. – Pstryknąłem palcami na karczmarza, który przybiegł z kolejnym dzbanem wina. Grubas wstał, wraz z nim wstała jego córka. Zostaliśmy z Belnerem sami.

– Dlaczego Rudy? – spytałem.

– Nigdy nie ufaj rudym, rude to fałszywe, łysym też nie ufaj, bo jak widać, mogli być kiedyś rudzi. – Nicolas popił z kubka, a ja zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem powszechne splugawienie nie jest początkiem upadku. Może właśnie to miało nas zniszczyć, nie Anioły, a strach przed Aniołami. Skoro bezpieczni są ci źli, to może chodzi o to, byśmy wszyscy stali się tacy.

Karczmarz przyniósł pieczone kurczaki, zrezygnowany kiwnąłem głową i na ten sygnał dookoła zaroilo się od bywalców karczmy. Przyszedł czas, by opowiedzieć o walce z Anielicą. To dlatego karczmarz obdarował nas jedzeniem, tłum ciekawskich nie mógł się doczekać opowieści. Nie przeszkadzało im nawet, że gdyby się mocno wsłuchać, to dałoby się usłyszeć odgłosy szorowania. To z murów Zielonej Góry ścierano krew.

Ja opowiadałem o pięknej twarzy zabitej przeze mnie Anielicy.

\* \* \*

– Jak to wykopać? – Patrzyłem się na Nicolasa ze zdumieniem, graniczącym z przerażeniem.

– Po prostu wykopać, wiem, gdzie leży, trzeba dokopać się do katakumb, rozbić kilofem strop, wejść do środka i wynieść truchło w specjalnie przygotowanej skrzyni. To dobry uczynek dla miasta, jej ciało jako świętej daje aniołom możliwość dostrzegania ludzi. Dlatego właśnie tak wielu zielonogórczan ginie zaatakowanych nagle przez Anioły.

– Ale wynieść, zamiast spalić? Przecież wszystkie relikwie, wszystkie truchła świętych były palone. – Patrzyłem się na Nicolasa z niedowierzaniem.

– Bo widzisz Brunonie, tak jak Księżę Głogowski płaci za skrzydła anioła, tak są osoby, które płacą za niespalone jeszcze truchła. Święta Jadwiga Śląska warta jest bardzo dużo złota.

– Jak dużo? – Popatrzyłem na Nicolasa.

– Tak dużo, że zamiast trzech mogę ci zapłacić trzydzieści grzywien. – Patrzył na mnie, czułem, że beze mnie nie będzie w stanie przeprowadzić tego, co zaplanował. Może liczył na jakieś stare kontakty w Zielonej Górze, ale spotkanie z Rudym uświadomiło mu, że jest zdany na siebie.

– Wolałbym pięćdziesiąt – powiedziałem, patrząc w jego oczy.

– Myślałem, że jesteś przybranym synem Mikołaja z Elzanowa, ale jak cię słucham, to dochodzę do wniosku, że płynie w tobie jego krew. Czterdzieści.

– Pięćdziesiąt – mówiąc to, uśmiechnąłem się niewinnie.

– Czterdzieści pięć i ani grzywny więcej. – Belner nie był zdenerwowany, był... rozbawiony...

– Zgoda, ale potrzebuję zaliczki, muszę kupić napierśnik. – Nagle poczułem, że był gotów dać znacznie więcej. „Ech Brunon... – pomyślałem sobie – jeszcze dużo się musisz o życiu nauczyć”. Położyłem się na sienniku w pokoju, który wynajął dla nas Belner i zasnąłem.

\* \* \*

– To najlepszy jaki mamy – uśmiechając się, rzekł płatnerz, odwijając z przesączonej olejem lnianej szmaty napierśnik. – Doskonała wrocławska stal, inkrustowana pentagramami i symbolami kabalistycznym. Tu na wysokości piersi dodatkowe wzmocnienie z wizerunkiem kozła wpisanego w pentagram, poniżej cyfry 666 oraz imiona Abadona, Beliala i Astatota. Wszystko ryte głęboko, nie ma obawy, że się zetrze.

– Wygląda trochę jak jarmarczny rekwizyt. Zresztą Abadon, Belial, Astarot czy nawet sam Lucyfer to po prostu druga strona tej samej pieczęci – powiedziałem; napierśnik wyglądał ponadto na trochę za mały. Nie mogłem za bardzo wybrzydząć, nie miałem czasu na to, by napierśnik zrobiono na wymiar.

– A szanowny pan widzę znawca, to bardzo przepraszam, bardzo przepraszam. – Sprzedawca pokręcił głową, aż pejsy zabawnie owinęły mu się dookoła głowy. – Proszę bardzo, nasz najlepszy towar prima sort. Wizerunki słowiańskich bogów, poświęcony Perkunowi, który wszak jest bogiem kowalem. Doskonała stal, o gąbczastej strukturze. Żaden belt jej nie przebije, a jest tak pogańska, że gdyby papież zobaczył w niej jaśnie pana wchodzącego do katedry, to by z wrażenia osrał ołtarz. Zaledwie dziesięć grzywien.

Uśmiechnąłem się na te słowa i nałożyłem napierśnik na przesywanicę, o dziwo, pasował jak ulał. Stałem przed wielkim zwierciadłem z polerowanej blachy i układając dłonie, jakbym trzymał miecz, spróbowałem zamarkować cięcie. Napierśnik nie ograniczał ruchów bardziej niż poprzedni, który nadawał się teraz jedynie do straszenia dzieci. Nagle w zwierciadle dostrzegłem, że ktoś bacznie mi się przygląda.

Tym razem krótką spódniczkę zastąpiły skórzane, jeszcze krótsze, ciasno opinające się na niej spodenki. Bluzka również przed czasami Aniołów nadawałaby się jedynie do paradowania w bordelu. Cokolwiek by nie mówić o modzie, jaką dały nam czasy splugawienia, na ulicach było teraz po prostu piękniej. Z uśmiechem obróciłem się w jej kierunku.

– Witam, twój ojciec wczoraj przedstawił nas, zapomniał jednak przedstawić ciebie – mówiąc to, przystąpiłem w jej kierunku. Uśmiechnęła się i obracając w miejscu, porwała z lady dwie wyprofilowane pancerne płytki łączone skózanymi rzemieniami.

– Brunonie, jak sądzisz, do twarzy mi w tym? – Przyłożyła sobie płytki do piersi i strzeliła spojrzeniem spod powiek.

– Tak, do twarzy, ale jako zbroja to bez sensu. – Kolejny przejaw splugawienia – skoro wcześniej zabraniano kobietom nosić męskie ubrania, teraz wiele ubierało się jak wojowniczkki, ściślej, jak bardzo skąpo ubrane wojowniczkki. I choć ubiór taki nie chronił przed ciosami Aniołów, to niewątpliwie posiadaczki takiego stroju nie były atakowane.

– A to? Podobałabym ci się w tym? – W dłoni trzymała coś, co tylko szalenciec nazwałby koleczugią. Asymetryczna, wykonana z wielkich kółek przypominała sukienkę na jedno ramię, sukienkę z odkrytymi plecami.

– W tej koleczudze każde ostrze cię przebije.

– Przebije mówisz... – Odłożyła koleczugię na ladę i stanęła naprzeciw mnie, była wysoka, prawie tak jak ja. Niewątpliwie pomagały jej w tym skórzane wiązane buty na wysokim obcasie. Kolejny atrybut splugawienia.

– Nie odpowiedziałas na moje pytanie. – „A co mi tam – pomyślałem – i tak za dwa dni stąd wyjeżdżam. Dlaczego się nie zabawić, skoro dziewczyna wyraźnie ma na to ochotę?”

– Mam na imię Branita, ale i tak wszyscy wołają na mnie Czarna. I dla twojej wiadomości rycerzyku, wcale nie mam ochoty się zabawić. Nie będę też do ciebie zwracać się z szacunkiem należnym szlachetce. Mój ojciec rządzi tym miastem, a ja jestem tu niczym księżniczka.

Jak byłam mała, to nazywano mnie czarnym aniołkiem, ale teraz to miano nie brzmi tak dobrze, jak kiedyś. – Gdy mówiła, cały czas się jej przyglądałem. Nie miałem w tym żadnego celu, podziwiałem jej urodę.

– Czego zatem chcesz czarna księżniczko od gotowego ci służyć rycerza. – Kiwnąłem głową do sprzedawcy, kładąc żadaną sumę na ladzie. Pewnie powinienem się targować, bo stary Żyd z wrażenia zamomowił, jednak zupełnie nie miałem do tego głowy.

– Ktoś, kto szarżuje samodzielnie na Anioła, nie powinien wypowiadać się o rozsądku – mówiąc to, mrugnęła okiem i wyszła ze sklepiku. Rzuciłem do Żyda, że po pancierz podejść później i ruszyłem za nią.

\* \* \*

– Chcę się wyrwać z tego miasta! – powiedziała po raz nie wiem który. Siedzieliśmy w małym pokoiku na poddaszu jednego z drewnianych domów. To była jej kryjówka, miejsce, w którym znikła przed światem, przynajmniej tak mi powiedziała.

– Ale dlaczego zwracasz się z tym do mnie? – spytałem, choć właściwie znałem odpowiedź.

– Bo masz jaja, bo stawieś czoła Aniołowi, będziesz zatem potrafił stawić czoła mojemu ojcu. Tu w Zielonej Górze wszyscy trzęsą przed nim kolanami. Gdy mówi skaczie, pytają tylko jak wysoko. Nie jesteś stąd, ja... ja zapłacę ci jak tylko zechcesz. – Nagle spuściła wzrok i po jej policzkach popłynęły łzy, nie wiem, prawdziwe czy udawane.

Przytuliłem ją i rozplakała się na dobre, wtulając w pikowaną prze-szywanicę. A ja zastanawiałem się, co mam do licha zrobić. Zadzieranie z jej ojcem wydawało mi się szaleństwem. Z drugiej strony jego władza pewnie nie sięgała poza Zieloną Górę. Odkąd pojawiły się Anioły, miasta stały się znacznie bardziej autonomiczne i oderwane od prowincji. W miastach było bowiem bezpieczniej. Nikt nie opuszczał ich, jeśli nie musiał.

Branita przestała płakać, jej barwione sadzą powieki zupełnie się rozmasały, zostawiając ślady po łzach. Uśmiechnęła się nagle, wręcz radośnie.

– Muszę wyglądać okropnie. – Przetarła wierzchem dłoni policzki, tylko rozmazując czernidło.

– Nie jest źle – powiedziałem i właściwie nie kłamałem, teraz wyglądała niewinnie i uroczo.

– Demony, jaka ja jestem głupia. – Przedtem siedzieliśmy na krawędzi łóżka, teraz położyła się na nim, pozostawiając jedynie buty na zewnątrz. Wciąż wycierała łzy.

– Jaka ja jestem głupia, że sądziłam, że ktoś może ryzykować życiem dla... dla... – Westchnęła przeciągle, bowiem gdy zaczęła mówić, położyłem dłoń na jej kolanie, a teraz powoli przesuwalem ją do góry.

– Dlaczego chcesz uciec? – moja dłoń dotarła do niesamowicie gładkiej skóry na wewnętrznej stronie jej uda.

– Bo... To więzienie... Tutaj wszyscy traktują mnie... – Patrzyłem zafascynowany, jak jej piersi zaczynają coraz bardziej falować.

– Nic z tego Czarna, chcesz, bym zrobił coś, czego pragniesz w zamian za coś, czego pragniesz, to dla mnie kiepski interes. – Zabrałem dłoń, poderwała się na nogi.

– Ty świnię, ty chamię! – Chciała mnie uderzyć, chwyciłem jej rękę.

– Spokojnie, nie zwykłem świadczyć usług w zamian za takie przysługi. Jednak jeśli masz na mnie ochotę, to wiesz gdzie mnie znaleźć. Nie obiecuję ci pomocy w ucieczce, nie idę na taki układ.

– Wynoś się! – Była wściekła, wstałem, parodiując niski ukłon.

– Księżniczka wybaczy, ale mam naglące sprawy. – I wybiegłem, słysząc gliniany kubek roztrzaskujący się o zamknięte w ostatniej chwili drzwi. Coś mi mówiło, że to nie koniec znajomości.

\* \* \*

W nowym napierśniku czułem się wreszcie bezpieczny. Tak to jest, gdy ciągle się nosi zbroję. Wróciłem do wynajętego pokoju w karczmie, w której wczoraj wieczorem opowiadałem o walce z Anielicą.

Nicolas oglądał niewielką, czarną, pięknej roboty szkatułę. Drewno, z którego była wykonana, inkrustowano w diaboliczne motywy srebrnym drutem.

– Nie za mały ten kuferek? – spytałem z zaciekawieniem.

– Dwieście lat z okładem leży w katakumbach, zapewniam cię, że zmieści się tutaj wszystko, co po niej zostało. – Nicolas uśmiechnął się i zapytał.

– Czy zorganizowałeś wszystko, o co cię prosiłem, bardzo długo cię nie było.

– Wszystko zgodnie z twoimi dziwaczными poleceniami. – Napierśnik był ostatnią z rzeczy, jakie odbierałem, oprócz niego kupiłem

miotłę, żagiel, łopatę, kilof, dłuto, młotek oraz niewielki blok marmuru od jedynego w Zielonej Górze rzeźbiarza. Skrzynię Belner załatwił sam, w tajemnicy nawet przede mną.

– Zatem jesteśmy gotowi – powiedział i podał mi łopatę. – Kop.

– Gdzie? – Rozejrzałem się bezradnie po izbie, patrząc na drewnianą podłogę.

– Brunonie rusz głową, nasza karczma jest w miejscu, gdzie niegdyś stał kościół św. Jadwigi. To, co mówiłem Rudemu, miało tylko i wyłącznie zapewnić mi spokój, podczas gdy miejsce, w którym będziemy kopać, to właśnie ta komnata w karczmie. – No żywo, wyrwij deski i kop, jesteśmy dokładnie nad katakumbami.

Wzruszyłem ramionami, Nicolas dobrze to zaplanował. Mnie pozostała mniej szlachetna część roboty, kopanie. Deski usunęliśmy, starając się ich nie uszkodzić, teraz zrozumiałem, po co był nam młotek oraz gwoździe. Zastosowanie żagla również stało się dla mnie jasne, gdy Nicolas ułożył go na podłodze, każąc nań sypać ziemię.

Kopiąc, zacząłem myśleć o tym, jak zmienił się świat z chwilą pojawienia się Aniołów. Zaczęło się Wielkiejnocy roku 1412, czyli dwa lata temu. W kościołach i katedrach, w małych kapliczkach i wielkich klasztorach rozległ się głos. Obwieścił, że nadchodzi czas oczyszczenia, że przeżyją tylko bezgrzeszni, a tych pogrążonych w grzechu czeka śmierć. Potem pojawiły się Anioły i wierni zrozumieli, iż prawdziwie bezgrzesznych jest bardzo, ale to bardzo niewielu. Anioły nie były wtedy tak liczne jak dziś, jednak nikt nie był przygotowany na ich atak. Białe fale spadających z nieba napastników niosły śmierć jak Europa długa i szeroka. Część ludzi padła na kolana, modląc się o szybką i bezbolesną śmierć, ich modły zostały wysłuchane. Ale też w wielu miejscach w odruchu szału, pomsty za zabitych krewnych, zwrócono się przeciw kościołowi. W końcu okazało się, że Anioła można zabić, choć to niezwykle trudne. Nie sposób policzyć ilu mężczyzn, kobiet i dzieci zamordowały Anioły w pierwszych dniach. Niektóre miasta i miasteczka zupełnie przestały istnieć. Ocalały jedynie te, w których najszybciej spalono symbole wiary. W końcu zrozumiano, że krucyfiksy i kościoły, różańce i relikwie są dla Aniołów tym, czym pochodnie w beksiężycową noc. Pozwalają dostrzegać grzeszników.

Aby to zrozumieć, należy wyobrazić sobie ciemną noc. W taką noc ludzkie grzechy i cnoty są jak kolory ubrań. Grzechy są jak ciemne płaszcze, a cnoty przypominają białe szaty. W tą ciemną noc nikt nie

dostrzeże ni grzesznika, ni człowieka względnie cnotliwego. Jednak gdy pojawi się symbol wiary, dla Aniołów jest niczym światło. W tym świetle z oddali dostrzegą tych, których cnoty są niczym jasne stroje, a grzeszników dostrzegą jedynie z bliska. Aby ustrzec się kolejnego buntu Aniołów, On pozbawił je zainteresowania grzechem. W taki oto sposób ci, którzy grzeszyli tylko trochę i nie odrzucili symboli wiary, zostali zabici, a ci najbardziej przewrotni i źli byli względnie bezpieczni. Stąd splugawienie, czyli świadome odrzucenie wszystkiego co święte i niewinne i pogrążenie się w występku. Oczywiście grzesznik przy symbolu wiary był dostrzegany natychmiast. Ale człowiek względnie uczciwy i nie zanadto dbający o splugawienie, mógł być dostrzeżony na przykład, kiedy cień ułoży się na znak krzyża. Takiemu komuś wystarczyło, jeśli znajdzie się za blisko ziemi, która niegdyś poświęcona nie została odpowiednio splugawiona, by zaatakowały go Anioły.

Pozostawali jeszcze bezgrzeszni...

Pod niewielką warstwą ziemi wymieszanej z popiołem pojawiać się zaczął gruz, a w końcu łopata trafiła na ceglany strop katakumb.

– No Brunonie, teraz trudna część roboty, trzeba to zrobić w miarę cicho. – O użyciu kilofa nie mogło być mowy, zatem dłutem kruszyłem zaprawę, przypominając sobie, jak Nicolas płacił karczmarzowi za to, że będzie dziś po południu pracował nad rzeźbą.

Wystarczyło wyjąć kilka cegieł i oczom moim ukazały się wnętrza katakumb. Nicolas podał mi latarnię oraz kuferek i starannie wytłumaczył, gdzie znajduje się sarkofag. Strop nie był wysoko.

– Nie idziesz ze mną? – spytałem trochę zdziwiony, gdy podawał mi przez otwór w stropie katakumb kufer na doczesne szczątki świętej.

– Brunonie, czas byś zarobił na swoje czterdzieści pięć grzywien, ja już jestem za stary na spacer po katakumbach. – Wzruszyłem ramionami, nie bałem się duchów i między bajki wkładałem opowieści o potworach żywiących się ludzkimi szczątkami. Zresztą kiedy zasypano wejście do katakumb, cokolwiek żywiło się tam szczątkami ludzi, dawno powinno zdechnąć z głodu.

Wróciłem do rozmyślań; bezgrzeszni to ci, których Anioły uznały za pozbawionych grzechu. Fanatycy religijni, eremici, pustelnicy, najbardziej zagorzali wierni. Ci zbierali się w grupy i ruszali, niosąc krzyże i śpiewając psalmy na miasta. A nad nimi krążyły klucze Anio-

łów. Gdy udało im się wejść do jakiegoś miasta, zwykle kończyło się to rzezią dokonywaną przez Anioły. Zatem ludzie zaczęli się bronić, rozumiejąc, że wprawdzie Anioła zabić trudno, ale bezgrzeszni to już inna sprawa. Rozpoczął się okres wojen. Teraz bezgrzeszni już nie zbijają się w grupy. Starają się przedostać do miast i tam ujawniają się, sprowadzając zagładę.

Nie wiem, kto pierwszy wykombinował, że można wykorzystać Anioły do własnych celów, sprytnie podrzucając coś, co ściągnie Anioły w pobliże wrogów. Tym właśnie miała być relikwia Świętej Jadwigi. Czymś, czym załaduje się katapultę i wystrzeli w kierunku wrogiej armii lub miasta. Rzeczywiście można się było domyśleć, że jest wiele osób, które zapłacą za relikwię.

Ciekawiło mnie, jak Brunon odkrył, że świętą pochowano właśnie tu, skoro oficjalnie leżała w Andechs. Pewnie trafił na dokumenty eks-humacji, które łatwo mogły zostać przeoczone, gdy w panice i pośpiechu palono kościoły i klasztory.

Wnętrze katakumb pachniało trupami, powietrze było suche i miało metaliczny posmak. Szedłem zgodnie z instrukcjami Nicolasa i po krótkiej chwili dotarłem do marmurowego sarkofagu. Postawiłem kuferek na ziemi, a latarnię powiesiłem na sterczącym z murów haku. Można powiedzieć, że stanowisko pracy miałem gotowe. „I tak – pomyślałem sobie – obiecujący rycerz został hieną cmentarną”. Nie hieną, oni tylko kradną kosztowności, ja miałem wykraść szczątki. Marmurowa płyta ustąpiła dopiero, gdy wsunąłem miecz w niewielką szczelinę i naparłem nań z całej siły. Wewnątrz sarkofagu znalazłem dwie trumny, właściwie trumnę i trumienkę. W tej małej był szkielecik dziecka, zapewne noworodka. W drugiej natomiast znajdowały się doczesne szczątki Jadwigi Śląskiej. Truchło ubrane w przegniłą suknię i sparciałe trzewiki. Na jej piersi leżał spory srebrny krucyfiks, a palec przyozdabiał złoty pierścień. Spakowałem to wszystko do skrzyni. Ten pierścień należący do świętej był relikwią II stopnia i pewnie prowokowałyby Anioły nie mniej niż same szczątki. Pogwizdując wesoło, zamknąłem sarkofag i chwyciwszy kuferek w jedną, a latarnię w drugą rękę, ruszyłem do wyjścia.

Kiedy otwór znalazł się nad moją głową, zawołałem Nicolasa, odpowiedział mi cisza. Postawiłem więc kuferek i latarnię na podłodze i podskoczyłem, chwytając się krawędzi. Z wysiłkiem zacząłem się podciągać, w zbroi to naprawdę niełatwa sztuka.



Wnyki zacisnęły się podbródki zbroi. Szarpnęło mnie w górę, rozpaczliwie starałem się chwycić powroza, który ktoś po prostu rozłożył dookoła dziury, czekając, aż wychylę głowę.

Trzech napastników rzuciło się na mnie, gdy leżałem na ziemi. Walczyłem, zasłaniając się naręczakami. Ktoś uderzył raz czy dwa kordem, jednak nie znalazł szczeliny w zbroi.

Nagle drzwi do pomieszczenia się otworzyły i stanęła w nich postać, ubrana w płaszcz z kapturem. Jeden z napastników rzucił się na nią, tnąc kordem przez pierś. Drugi odwrócił się w kierunku drzwi. Udało mi się wyrwać rękę i chwytając go za czuprynę, pociągnąłem na bok. Stracił równowagę i poleciał wprost do katakumb. Ostatniego uderzyłem łokciem w twarz, nie łokciem, nałokietnikiem. Poderwał się, brocząc krwią z rozbitego nosa, a ja zerwałem się na równe nogi.

Dostrzegłem, że postać w płaszczu leży na ziemi.

Nicolas Belner siedział na drewnianym krześle, odchylona na bok głowa sprawiła, że poderżnięte gardło wyglądało niczym koszarne usta.

Chwyciłem łopatę i zdzieliłem w łeb tego, który oberwał wcześniej w nos. Chrupnęło.

Został ostatni. Zmierzyliśmy się wzrokiem. Ja i bandyta z kordem. Skoczyłem na niego. Choć miałem tylko łopatę, nie miał szans, padł na ziemię z nieomal odrąbaną głową.

Wtedy dostrzegłem, że postać w płaszczu z kapturem poruszyła się delikatnie. Podszedłem i zdjąłem kaptur, patrząc z niedowierzaniem na śliczną twarz Czarnej. Obejrzałem ranę na piersi, ale rany nie było. Spod przeciętego płaszcza wystawały pancerne, ozdobne ochraniacze piersi, nałożone na koleczugę w kształcie sukienki, ze stanowczo za dużych oczek. Skóra nie była nawet drażnięta, co doskonale było widać, bowiem pod sukienką Czarna nic więcej nie miała.

– Przyszłam... Przyszłam powiedzieć, że zgadzam się na twoje warunki – wyszeptęła, była oszołomiona, siła ciosu rzuciła ją na framugę, w którą uderzyła potylicą.

– Masz szczęście dziewczyno, że ubrałaś się w ten sposób, nic ci nie jest, będziesz żyć. – Popatrzyła na mnie, odzyskując rezon.

– To dla ciebie się tak ubrałam, myślałam, że ci się spodoba. Kim byli ci ludzie? – No tak, gdyby nie leżące dookoła trupy, byłoby całkiem przyjemnie.

– Znajomi twojego ojca, a to oznacza, że mamy problem.

\* \* \*

Dwóch zabitych bandziorów po prostu wrzuciłem do katakumb, potem zszedłem po skrzynię ze szczątkami Jadwigi Śląskiej i latarnię. Ten, którego zrzuciłem za włosy, żył, miał jednak złamaną nogę. Dobiłem go litościwie. Zgodnie z planem Nicolasa, usunąłem ślady po kopaniu, a podłogę przybiłem z powrotem na swoje miejsce. Dziewczyna przyglądała się moim poczynaniom z wyrazem przerażenia na twarzy. Gdy skończyłem, ułożyłem trupa Nicolasa na największej kałuży krwi, przeszukałem jego dobytek i chwyciwszy dziewczynę pod rękę, wyszedłem z komnaty.

Było już dobrze po północy, plan Nicolasa zakładał wydostanie się z miasta przez Górną Bramę, gdzie czekać miał na nas sowicie opłacony patrol straży.

– I co ze mną będzie? – spytała dziewczyna, wciąż uczepiona mojego ramienia.

– Uciekasz ze mną, tak jak chciałaś, chyba że zmieniłaś zdanie. – W odpowiedzi tylko chwyciła mnie bardziej kurczowo.

– Ale ja nie zdążyłam ci... ci się odwdzięczyć.

– Słuchaj dziewczyno, uratowałaś mi życie, więc ci pomagam, a co do dowodów wdzięczności, to porozmawiamy o nich, gdy będziemy już daleko od tego przeklętego miasta i twojego ojca. – Przytuliłem ją i dałem jej buzi w policzek, usłyszałem jak odetchnęła z czymś na kształt ulgi.

– Stać! – Strażnicy pojawili się nagle wszędzie dookoła mnie, cały patrol, czyli dziesiątka. To nie był przypadek, czekali na nas. Odruchowo schowałem dziewczynę za siebie, czując, jak beznadziejny jest ten gest.

– Proszę, proszę, pogromca Anioła we własnej osobie. Kogo tam prowadzisz? – Rudy stał na blankach, strażnicy otaczali nas, zbrojni w giewie i halabardy.

– Mam w tej skrzynce prochy Jadwigi Śląskiej! – krzyknąłem, unosząc skrzynię nad głowę i lekko ją uchylając. – Jak jej zawartość wypadnie, Anioły zrównają to miasto z ziemią.

– Łzesz! – krzyknął Rudy, ale strażnicy jakby się zawahali.

– Nicolas Belner odkrył, że Jadwigę Śląską pochowano w jej kościele, chciał wydobyć szczątki i sprzedać ja komuś. Pomyśl, wystarczy tym załadować trebusz i wystrzelić we wrogą armię. Anioły dokończą sprawę.

– On mówi prawdę ojcze! – krzyknęła Branika, zrzucając kaptur, Rudy zaniemówił z wrażenia.

– Wyjdziemy teraz z miasta, a wy zostaniecie tu, gdzie stoicie, ktokolwiek chciałby nas ścigać, niech pamięta, że ta skrzyneczka może mi wypaść, a wtedy nie zostanie tu nawet kamień na kamieniu.

– Po moim trupie! – wrzasnął Rudy, zbiegając z murów; jakiś bystry strażnik, zapewne dowódca patrolu, podłożył mu nogę i grubas przewrócił się jak długi.

– Wynosić mi się z tym z miasta, dam wam kilka chwil i wysyłam za wami konny patrol z psami. Będzie was ścigał, aż was dopadnie. Chyba – tutaj na twarzy strażnika zagościł nagle złośliwy uśmiech – że po drodze znajdzie tę skrzynię. Otwierać bramy! Rzucił w kierunku strażników.

Wybiegłem, trzymając Czarną za rękę, pędziliśmy ile sił w nogach, starając się dobiec do Złotej Łączy. Zdawałem sobie sprawę, iż dla zielonogórskich strażników dopaść nas nie będzie problemem.

– Zostaw tę skrzynię, uciekajmy – wydyszała Czarna.

– Nie! Ktokolwiek ją przejmie, prędzej czy później wykorzystają ją, by zabijać ludzi.

– Ale co nas to obchodzi? – spytała.

– Niby nic, ale jeśli mogę uratować kilka tysięcy istnień od śmierci zadanej przez Anioły, to gra warta jest świeczki. – Mówiąc to, pociągnąłem dziewczynę i pobiegliśmy. Z oddali dało się słyszeć ujadanie psów.

– Zwariowałeś... zabiją nas... – Dyszała już ciężko, psy były coraz bliżej.

– Jeszcze kawałek, tam, do rozstajów. – Mój oddech też nie był w najlepszym porządku, dawno nie biegałem w zbroi.

Obławę nie tylko było już słyhać, ale dostrzegłem jasne ognie pochodni. Psy trzymały trop, ciągnąc za sobą konny patrol. Nie było szans, by ich zgubić. Dopadłem rozstajów. Tak jak sądziłem, były tam resztki kapliczki. Wyrwałem miecz z pochwy i wskazując dziewczynie pobliskie drzewa, krzyknąłem:

– Biegnij i tam się schowaj, pod żadnym pozorem nie wychodź z ukrycia. – Na zachętę klepnąłem ją w pośladki i gdy rzuciła się do ucieczki, oparłem głowicę miecza o podmurówkę zniszczonej kapliczki. Trzymając za ostrze, raz za razem uderzałem kamieniem w jelec. Jego zakrzywione ramiona wyprostowały się, tworząc poprzeczną linię.

Wzniosłem miecz do góry i z rozmachem wbiłem go w ziemię. Chwyciłem kufer i biegnąc, jakby goniły mnie wszystkie Anioły, pędziłem w las. Szum anielskich skrzydeł uzmysłowił mi, że w moim mieczu Anioły rozpoznały to, czym dla krzyżowców był miecz. Odpowiednik krzyża...

Dopałem zarośli w tej samej chwili, gdy psy i patrol dotarły do mego wbitego w ziemię miecza. I ledwie dwa uderzenia przed tym, nim Anioły zaatakowały patrol. Dziewczyna leżała w zaroślach, patrząc się z przerażeniem na błyskawice, jakimi pokryły się rozstaje i na beznadziejną walkę strażników. Anioły zatrą ślady naszej ucieczki, problem w tym, by nas nie zabiły. Nie traciłem czasu. Przewróciłem ją na plecy i z jej ust wycisnąłem najgorętszy pocałunek, na jaki umiałem się zdobyć. Ręką starałem się zadrzeć jej płaszcz i dostać się pod kusą koleczugosukienkę.

– Co ty chcesz robić? – wyrwało się jej między jednym, a drugim pocałunkiem.

– Dziewczyno ja nie chcę, my musimy... – mówiąc to, szarpałem się z rzemieniem utrzymującym sakczek spodni.

– Grzeszyć? – powiedziała z uśmiechem i nagle bezceremonialnie przewróciła mnie na plecy. A po tym, co zaczęła robić, wiedziałem, że żaden Anioł nas nie dostrzeże.

### **Michał Organiściak:**

Urodzony w roku, z którego tylko wina są dobre, na Lubelszczyźnie. Mieszkam w ukochanym Toruniu, gdzie ukończyłem – nie wiedzieć po co – pedagogikę. W życiu zawodowym byłem bramkarzem w klubie nocnym, urzędasem szczebla wysokiego i pracownikiem firmy consultingowej. W jednym z tych miejsc nauczyłem się myśleć i działać szybko, mówić i pisać wdzięcznie, pracować ciężko i z oddaniem. Preferuję wymachiwanie ciężkimi metalowymi przedmiotami lub taplanie się UAZ-em w błocie nad wieczór spędzony na oglądaniu tv. Od zawsze marzyłem, by pisać, a gdy już zacząłem – zamarzyłem o publikowaniu. Zapytany, co u mnie słychać, nieodmiennie odpowiadam: „Niekończące się pasmo sukcesów...”